POEZYE BOGUSŁAWA ADAMOWICZA.

WYDAŁ B. KOZAKIEWICZ. CZCIONKAMI A. REIFFA. PARYŻ! 1903 R.

POEZYE

Bogusława ADAMOWICZA

WYDANE PRZEZ
B. KOZAKIEWICZA.
PARYŻ. 1903.

RÓŻY S.....

POEZYE

DZIEWIĄTA FALA.

Ocean w mgłach... U pustych, piasczystych wybrzeży
Ławami się w jesiennych przewala tumanach...
Wał się toczy ku brzegom — zakłębi — uderzy —
I zaszumi pianami wzdłuż — i wraca, w pianach.

Niebo szare jak woda... Żagiel... Biała mewa
Krzyczy... Fale się kłębią, przybijają zdala. .
Liczę je: jedna—druga — — — Spójrz jak ta nabrzmiewa,
Jak wezbrała nad inne!... To Dziewiąta Fala.

Liczę, i chaotyczne mierząc ich ogromy
Słucham jak ląd zgiełkliwą napełniają wrzawą...
Przesąd fali dziewiątej... przesąd pian znikomy...
Jakąż marzeń kipiącą w duszy zawrzał ławą!...

Przesąd liczby dziewiątej... dumna Magów wiara...
Cóż, że sprawdzań powszednie szydzą z niej mozoły:
Fatum wiecznie spokojne, jak piastunka stara,
Wiecznie rytmem *dziewiątym* kołysa żywioły.

Oto Żywioł istnienia wielki mknie w bezbrzeże...
Przypływami pokoleń sfala się i spienia,
I za każdą dziewiątą z fal najpełniej wzbierze —
I zagrzmi... Jeśli wątpisz — przelicz pokolenia.

Wzrok się gubi w ich morzu, we mgłach oddalenia
Mętnieją; przypływ z każdą wzmaga się godziną. .
Wstają fale narodów — wschodzą pokolenia —
Szumią życiem, czynami wzbierają i płyną...

— Od której zacząć liczbę?...— Oto z wieków łona
U bytu niedosięgłej spiętrza się rubieży
Jedna — taka olbrzymia, tak nieogarniona,
Że tylko oczu ślepca blask jej nie uderzy.

Idzie, pełna jak morze, niezmiernością Boga
Wydęta... Ziarnem Cudu po fali siejący
Na jej zrębie, gdzie piana rzesz kipiała mnoga,
Chrystus stał cudotwórczy i błogosławiący —

Wszystkim Falom. — A przed Tą Wiek Arystotela
Przeszumiał... A już dalej w mgłach się gubią dzieje.
A osiem fal po za nią — znów się roztopiela
Wielki nurt, co wezbraniem stary świat zaleje.

Wielki nurt, co wezbraniem zatopi świat stary,
Zniesie bogów posągi, rozwali świątynie,
Nad tronami Cezarów przeleci, Cezary
Porwie... I znowu osiem zwykłych fal przeminie.

I znowu wstanie wielka, w łunach niepogody
Biczem Bożym chłostana zakłębi szeroko
I ludów zmięszanymi zakotłuje wody...
Następna spłynie wielką Karola epoką.

Następna niesie zapał wzbierający ludu...
Zgiełkiem zbrojnym rycerstwa krzyżowego biegła
Na wschód! na wschód! — i cicha u kolebki Cudu,
U stóp Grobu Świętego rozmodlona legła.

Znowu osiem fal mija... Na dziewiątej zrębie
Myśl moja, co jak mewa się w tumanach waży,
Zwisła skrzydłem znużonem... Fal niezmiernych głębie
Niechaj oko świadomych zgłębia Marynarzy...

Następna, z Odrodzenia tęczowymi błaski
Szła, ducha niebotyczne zataczając koła,
A przechodząc kipiąca na brzeg Jutra płaski
Rzuciła szczytne głazy Michała Anioła.

Onaż to w ponadchmurnym rozhukana pędzie —
Kiedy ciemni Przesądu truchleją obrońce —
Jako skałę z nad brzegu — między Gwiazd krawędzie
Ziemię z posad stoczyła, i wstrzymała Słońce.

Ostatnia z tych, co wielkie, kotłująca ława
Z trupami królów ściętych leciała szalona,
I jak słońce wschodzące dni burzliwych, krwawa,
Na pianach swych wyniosła tron Napoleona.

Napoleona, Bajronów...— i odeszła z grzmotem
Rozbujanym w akordów Bethoweńskich dreszcze...
Odeszła już — i jeszcze szczerem pieśni złotem
Mickiewiczów, Słowackich plusnęła... I jeszcze

Szum jej słychać z przepastnej dochodzący głębi...
Dziś, choć Przypływ odwieczny trwa na ciemnej Dali,
I choć szumiąc po piaskach nowy wał się kłębi,
Dziś nie czekaj na brzegu: niemasz Wielkiej Fali.

Ale będzie... Lecz kiedy?... Z której przyjdzie strony?...
Jakie skały pozwala? jaki brzeg zaleje?...
Za jaką leci Gwiazdą ten przypływ szalony —
I ta Gwiazda skąd weszła — jakich zmian koleje

Przebywa?... Któż odgadnie; kto zbadał jej tory.
— Oto śni się mej duszy, że tam, ku Błękitom
Tajemnym tajemnymi ona mknie przestwory
Ku owym przeczuwanym, niezbadanym Bytom.

Oto śni się mej duszy, że Tam, kędy leży
Ląd ów tajnych wymiarów, jakiś niepojęty
Olbrzym, z ponad bytowych wieczności wybrzeży
Pogląda w dal, i mroczne badając Odmęty —

Liczy fale w wieczystych huczące tumanach,
I mierząc Nieskończoność od końca do końca,
Słucha, jak Wał przybija — Ten — w którego pianach
Kroplami są Księżyce i Gwiazdy i Słońca.

VETO!

I znowu wstaję, jak upior z pod ziemi,
Wstaję, — gdzie zgodną kujecie niesławę;
Po zgromadzonych oczyma krwawemi
Potoczę, serce wam pokażę krwawe...

Przez lata byłem dla rzesz pełnych drżenia
Wspomnieniem sennej, niespokojnej mary...
Dziś budzę w sercach krzyk mego imienia,
A jutro czynu zapalę pożary...

Słuchajcie Wy, co jako czerń spojona,
Gdy grom mię zraził, na mą pamięć plwali,
Ziemia z gniewnego wyrzuca mnie łona,
Bym szedł, nim zachód waszych dni się spali...

Słyszałem w grobie, że Lud stał się karłem,
Od słońc swych hańby się oddalił metą:
Więc żwirom śmierci z objęć się wydarłem,
Potrójnym trumnom powiedziałem: Veto!

Słuchajcie wy, co trwożnie jak złodzieje,
Zbawiacie naród cicho tak, podziemnie...
Ty Polsko! słuchaj, ty co klniesz me dzieje:
Czem byłaś za mnie?!... a co znasz bezemnie?!..

Za moich czasów złote miałaś zorze,
I własny czynów łan wschodzący żyźnie;
Dzisiaj zagony próżno syn twój orze —
Bo nie wyorze pługiem dnia Ojczyźnie,

Mojaż to ręka zmarnowała kłosy
Coś dał, by śpichrze napełnić Narodu,
Genjuszu Ojców! jam że kuł twe losy
I tak je ukuł, że — umierasz z głodu!...

Za moich czasów — śród wolnych szeregów —
Wieńczyłaś Równość prawem do korony:
Dziś jesteś, Polsko, sługą sług i szpiegów,
Po sławie Ojców czołgasz się splamionej.

Za moich czasów — w bohaterstwa cudach —
W obronie obcych trwoniłaś swe życie:
Dziś pomiatają chwałą twą po ludach,
Jak owym trupem po karczmach — w Upicie...

Bo dziś uchwalasz tak powszechnie, zgodnie,
Tak jednomyślnie: — do upadku dążyć!
I głos mój krwawy depcesz wciąż, jak zbrodnię,
(Że zmusza w trupach krew nanowo krążyć!)

I trwasz tak w bladych oniemiała trwogach —
Tak dziś — jak w owym niemym dniu zagłady,
Gdym leżał na twych pohańbionych progach
Wstrzymując pochód Targowickiej zdrady!...

I czekasz, czekasz, czekasz, — aż twe imię
Jak kurz nikczemny z dziejów zmiotą karty...
— O! póki w mózgach jedna myśl nie drzymie,
I jeden ducha z piersi znak — niestarty:

O, póki w ciżbach jedna iskra czynów
Odbłyśnie echem serc głośnemu słowu:
To choćbyś siedmkroć szła przez trupy synów —
I siedmkroć przeszła — i przejść chciała znowu —

I jak dziś niecne uchwalać rozejmy —
I słońc się wyprzeć i chorągwie zwinąć:
Jeden głos zerwie twoje walne sejmy
Okrzykiem jednym: «Niepozwalam!» — ginąć.

I niepozwalam! — Choćbyś z wstydu wściekła,
Stu nowych zdrajców pędzona podnietą,
Styksami hańby szła — i szła aż w Piekła:
To Cię z przed piekieł odstraszy twe: Veto!

Cóż milczysz?... Zwołaj ministrów... lub księży...
Niech mszę odprawią: gdym zły duch, przepadnę...
Bo zerwę maski z twych radzących męży —
Znieważę czynem twarze ich bezradne...

Jeśli zbyt śmiało w wasze serca mierzę
Wyrzutem krwawym: — otom z krwi i z ciała —
To mię na szablach roznieście... rycerze!...
Jak było w Polsce, gdy «nierządem stała!»...

Nie! Tak nierządną nie zgrzeszycie sprawą...
Karniejszym rządów dziś was tuczą karmem...
Dziś znieważanym jedno świeci prawo —
Prawo wniesienia skargi... przed żandarmem...

RAPSOD LUDZKOŚCI.

I.

Z zamierzchłej, ciężkiej, ciemnej nocy
Jutrzenka ducha wzeszła świetna...
Westchnęła ludów rzesza senna...
I z pod brutalnej żądz przemocy
Wykwitła pierwsza myśl szlachetna...

Na gęśli dziejów baśń plemienna
Dzwoniła pierwsze twoje czyny,
I strojne w pierwsze twe wawrzyny,
Królewskie, myśli pełne Bożej
Zwalczały Smoków twe książęta...
I tak jak Polska, w blasku zorzy,
Wstawałaś, Matko Ludów święta!...

I wstawał górnej pełen chwały
Wyzwoleń pierwszych orzeł biały...

II.

Śród puszcz wschodziły, z nad Mogiły,
Z uroczysk wiały po Dąbrowie
Klechdowe senne poematy...
I przyszli cisi Aniołowie
Przed próg Piastowej ludów Chaty.

I przyszła Złota Wieść do Ciebie
W patryarchalne owe rano
Gdy po rodzimej, ciemnej glebie
Bruzdami znacząc błoń oraną
Szedł w parze z pługiem zwyczaj stary:
Świtała Wiara w Wolność świętą...
I światło Wiary tej przyjęto...
Przejrzeli króle... i tej wiary
Bohaterskimi grzmiącej cudy,
Przyjęły krwawy chrzest twe ludy.

III.

Sztandarów twoich wielka zorza
Łunami grała w mgle dalekiej...
A czarne dymy szły w przestworza,
A krwawe w przyszłość biegły rzeki...
A z nich jak Słońce z nurtów morza
Błyskały złote Twoje wieki...

Gdzie grzmot skrzydlatej huczał jazdy,
Królewskich lutni dźwiękły strony...
Huf mędrców z prochu wstał, natchniony,
W nadchmurne wzbił się regiony —
I mieczem myśli grzmiał — o Gwiazdy!...

. . . .

IV.

A kiedy błędy i zła wola
Skalały świetność purpurową —
I głuchła czynów kwietna rola:
Tyś otrząsnęła się surowo...
Jak Feniks złoty — z mroków łona —
Powstałaś wolna, odmłodzona,
Odradzająca się nanowo —
Uchwałą ludów twych Majową...

Powstałaś z prochu podźwignięta —
Zbratania dziełem pełnem słońc i cudów —
Ludzkości, matko ducha święta!...
Rzeczy-pospolita ludów!...

V.

Lecz dzisiaj — — próżne znoje!...
Marnieją wieków szczytne trudy.
Zdradzili Wolność króle twoje,
I królujące twoje ludy
Szaloną puszą się prywatą.
Pod możnowładczą pychy szatą
Coraz bezkarniej i bezbożniej
Zła wola rządów się wielmożni!...

Moc się rozprzęgła... Gwałt i zdrada
Stoczyły myśli zrąb wiekowej.
Zbawienia dzieło w proch upada.
I depcąc słabych zgięte czoła —
Złych stopa znęca się zuchwała
Nad Ojczyzn krwawem dostojeństwem...

VI.

Nierządem stoi twoja chwala —
Nierządem stoi twoja chwała —
Nierządem, gwałtem i szaleństwem!

Ród odstępców spiski mota,
Z wrogiem toczy szpieg układy...
Tutaj — szepty i narady —
A tam — połysk krwawy złota.
Połysk zlota, targi, zwady,
Spiski, orgje i biesiady...
Z hańbą świata, świat się brata...
Na jarmarczny zgiełk pośpiesza...
— Słyszysz krzyk?! — To ślepców rzesza
Zaprzedaje — Słońce świata!!...

VII.

. . . .

Lata idą — lat gromada —
Odwracają chmurne lica...
I jak grom ich klątwa spada:
« Targowica!!...
« Targowica!!...»

. . . .

. . . .

VIII.

— Cóż taka cisza? — gdy koronę
Słoneczną ducha grzebie zdrada?...

. . . .

Oto narody zgromadzone
Na sejm — i toczy się narada...
I w senatorskich radzą szatach,
W złocistych deljach i szkarłatach...
Obezwładnione katów władzą —
Przed Wrogów gnące się skinieniem —
Pod grozą dział w milczeniu radzą —
Milczeniem radzą — i milczeniem
Podpisują cudzą wolę
Na niewolę!
Na niewolę!!...

IX.

O Polsko! w ludów sejmujących kole
I ciebie widzę na tym niemym sejmie,
Gdzie nikt nie wstanie serc obwieścić wolę —
I nikt z trybuny głosu nie podejmie.

O Polsko! podnieś swe królewskie: Veto!
Z uroczysk ducha świętym wskrześnij zniczem!
Z gnuśności dźwignij się — i stań przed światem —
Przed wieków przeszłych i przyszłych obliczem —
Narodów jarzmem wstrząśnij niewolniczem —
Zwycięskim czynu zaświeć im szkarłatem.

Lub w progu hańby padnij — z sercem krwią zalanem —
I krwią swych męczeństw krwawa — stań się ich
[Rejtanem!

DZWON.

Z podniebnych stron,
Gdzie — krzyż,
Ja dzwonię — dzwon —
I drży mój śpiż...
Mój żal
Mknie w dal —
Mknie w dal —
I wzwyż...

Wśród chat — wśród łąk —
Wśród kniej —
Rozbrzmiewa wkrąg
Jęk piersi mej...
Brzmi wkrąg
Wśród łąk —
Wśród łąk —
I kniej...

I woła w głos
Do Nieb
O lepszy los
Dla Waszych gleb...
O cud
Bez złud...
O płód...
O chleb!...

W noc prób i męk
Ja wam
W złowrogi jęk
Na trwogę grom —
Ja grzmię
Przez rdzę —
I zwę —
I gnam...

I budzę lud,
By strzegł
Swych pól, swych trzód,
Swych chat... By biegł
Kto żyw
Do niw —
I żniw
Swych strzegł.

W niebiosach zgasł
Już dzień...
Śpi łan... śpi las...
Śród słotnych mżeń —
Śpi gród...
Tchnie chłód
Od wód...
I cień...

A pomnę czas
Mój śpiew
Za wiarę Was
Wiódł w dym i w krew...
I gnał
Was szał —
I wrzał
Wasz gniew...

O jakże grał
Mój śpiż
Hymnami chwał
I wkrąg i wzwyż!...
Jak bił
Co sił!...
Jak lśnił
Wam Krzyż!...

Dziś minął czas
Tych złud...
Wasz zapał zgasł
I ustał trud...
I ustał czyn
Co wrzał tu wprzód...
I w nędzy zgłuchł
Mój wierny lud...

Dziś zgiął mu los
Już kark...
Więc łka dlań głos
Mych rdzawych warg...
Grzmi dlań
Ma krtań
Od łkań
I skarg!...

— Grzmij dzwonie, grzmij,
Jak grom!...
Na trwogę bij
W upadłych Dom!...
Nieś w świt
Swój zgrzyt
Na wstyd —
I srom!...

Niech słyszy ból
Mych trwóg
I wieszcz — i król —
I druh — i wróg —
I brat
Od chat... —
I świat... —
I Bóg!

HUNNOM.

ATYLLA.

I

Jeśli duch wolny, w ciżb drzemiący łonie,
Zapragnie światła, jeśli się odważy
Zapragnąć światła, schwycić iskrę w dłonie
I nieść dla życia gasnących ołtarzy :

To niech nie szuka go, gdzie wolne grody,
Niech oświecone ominie krainy,
Z mędrkowań możnych w oczy się rozśmieje...
Bo tam ciemności pracują machiny...

Noc, noc bezbrzeżna obsiadła Narody,
I z serc, i z czynów taka nicość zieje!...
I takie ciemne, takie ciemne dzieje!...

II

Więc, jeśli kędyś, choć w «ziemi helotów»
Tak niegdyś wolnej, tak zdolnej do wzlotów
Słonecznych, — dzisiaj pełnej trwóg i drżenia, —
Jeśli choć w Polsce, choć z jej twarzy cienia
Coraz bezkrwistszej, od niemocy bladszej,
Choć jednę jeszcze skrę ducha wypatrzy:

To niech ją schwyci, jak ogień zbawienia,
Do chat zaniesie, ogniska rozżarzy,
I serca trupem stygnące rozgrzeje,
I świeci! — świeci!... jeśli się odważy...

. . . .

III

Bo oto światła pogaszą złodzieje...
I któż? nie nędzarz ścigany żandarmy —
Monarcha, z tronu kalający dzieje,
W fałszywe światu uderzy alarmy!...

I oto światła pogaszą złodzieje —
Bojaźnią jeszcze osłonią się Bożą
I okradzionym narodom zagrożą —
Ciemnością wielką, co... od Chin się leje!!...

Że to podobna wzbierającym rzekom
Dzicz żółta cielce w dymnej niesie chmurze
Przeciwko światłym Europejskim wiekom...
Angielskim handlom... niemieckiej kulturze...
Kościołom, bursom i pinakotekom...
Aż z końca świata krwawe idą burze!...

IV

Gdybyż naprawdę Barbarzyńca jaki
Przyszedł — i ziścił te pogróżki z bajki! —
Możeby wreszcie dzikimi rumaki
Wasze Teutońskie porozpędzał szajki...
Gdybyż! o gdybyż ów wysłaniec Piekła
Atylla przyszedł i do dna wywrócił
Wszystko, co wzniosła wasza pycha wściekła,
Na gruz zdruzgotał, w perzynę obrócił!...
Gdyby narody w zamęt stłoczył nowy —
I nad Ludzkości obalonej łonem,
Jak burza, kopyt zawisnął miljonem —
I aż do serc jej krwawemi podkowy
Wrył się — i we krwi Ludów poił konie —
I tak na świata stratowanem łonie —
W pożarach stanął — podobny komecie!

Tożby to światłem obiegła po świecie
Wieść: że nie depce tak, jak *wy* depcecie!

GDZIE ŚWIATŁO.

I

O nie! Atylla nie tak grzmiał dokoła
Błogosławieństwy roztratowywania...
Nie sączył hańby wynaradawiania...
Nie wdrażał dzieci w torturowe koła,
By przyszłe wieki wlec na rusztowania.
I jeszcze z miną świętą Archanioła
Obłudnych misyj obleczony szatą
Na wschód do «dzikich» nie chodził z oświatą!..

II

Cóż ludom wasza oświata, rozumy?
Z rozumem waszym po szynach z żelaza
Nie postęp jedzie do nich, lecz — zaraza...
Cóż że ich leczyć będziecie od dżumy,
Gdy dżuma gwałtu z waszych misyj bucha,
Z bałwanów waszych, którym nie masz końca...
Cóż że im dacie wasze sztuczne słońca,
Gdy noc zagłady z tych słońc dymi głucha.
I jakżeby też miała uczyć ducha
Analfabetów nikczemna gromada,
Co głosek serca świetlanych nie umie
Czytać?!... A dziecko te głoski rozumie...
A dziki słowa z nich wielkie układa
I epopeę wyzwolenia wróży...

III

Bo jeśli dziki się o wolność burzy,
To on jest światłem, on przyszłości służy,
Apostołuje wiarę w prawdę szczerą,
W wielkość, w zwycięstwo prawych serca zniczy,
W jedyne dobre, które lud dziedziczy. —
Bez czego czyny wszelkie są literą
Martwą; a cele — fałszem lub chimerą;
A cała wiedza, cały skarb zdobyczy
Myśli, wysiłki wieków, trud miljonów —
To są stodoły wielkie, pełne plonów,
Skąd nikt nie czerpie, choć ich ogrom chwali.
To — piramida, która ląd zawali
Głazami, potem, krwią nagromadzona
W stulecia, sięgnie aż do gwiezdnych granic:
Bezduszna, pusta, niepotrzebna na nic, —
By chować tylko mumję Faraona.

IV

A jedno jakieś targnięcie obroży
Więcej bogactwa w życia skarb dołoży,
Niż profesorów cała czerń uczona.

Policzek ucznia wymierzony w katy,
Niż sto szkół, więcej przyniesie oświaty.

I jedna pomsta na katach spełniona
Ludzkości więcej nowych zórz przysporzy
Niż z mędrkujących błyśnie gwiazd miljona.
I więcej cnoty w ludzkie wsieje łona,
I w wyższe życie wyniesie dziedziny,
Niż sterujące po chmurach machiny!...

V

Gniew prawy, święty bunt — to wieczne dźwignie
Dziejów. Tem ludzkość ducha los rozstrzygnie.
I rozstrzygała, jak świat stoi światem.
Poza tem niemasz nic ; a wszystko — na tem.
Stąd światło, szczęście, życie z tego całe.
Bez tego mądrość idzie na zakałę...
Po za tem śmierć i śniedź. A wszystko — na tem.

VI

Kto praw tych nie zna, ten się próżno włóczy
Po progach wszechnic, wiedzy w księgach szuka.
Kto praw tych nie zna, niech się z słów mych uczy
I w pamięć wraża i dzieciom powtarza,
By wsiąkły w syna krew i w kości wnuka...

Nim przyjdzie jasna, jak piorun, Nauka,
Z cytadel głuchych wystąpi podziemi,
Płomienną ręką do okien zastuka,
I w domy wejdzie, półmędrków oniemi,
Wymową czynu niewiernych pokona,
Niezaprzeczona — i od łun czerwona...

A kto jej święte zasiewa nasiona,
Pobłogosławcie tego siewom, prawi!...
A waszym dłoniom czyn pobłogosławi.

MASKA.

Ta cała zdobycz dzisiejszych żniwiarzy,
Ta krzątanina troskliwa handlarzy,
Co własnym zyskiem zysk kraju wzbogaca,
Ta wiara w wiedzę i pęd ku niej świeży,
Ta praca, praca, i jeszcze raz praca,
Ku zbudowaniu głoszona młodzieży
Z każdego rynku, ulicy, komina...
Te zdrowe hasła oświecania ludu,
Ten grosz, co brzęczeć w skarbonie zaczyna...
Ta nawet Sztuka, objawienie cudu,
Która jest chleba własnego zaczynem,
Którą duch wschodzi i świeci, jak słońcem...

To wszystko razem, co jest u nas czynem,
Walką, początkiem jej, środkiem... i końcem —
Co w imię kraju, pomimo łańcucha,
Do skrzyń rękami składamy obiema...—
To wszystko — cnota...

Ale w tem *nic* niema
Z Narodu — z życia wielkiego i ducha —
Nic, — w czem tkwi walki jego przeszłej znamię,
Nic z wiary w przyszłość. To — skorupa trupia.
To maska nędzna, którą motłoch kłamie
I którą sam się przed sobą ogłupia
I twarz narodu myślącą udaje!...

Bo kłamią, kłamią niewolnicze zgraje.
Nie hasło pracy: krzyk «zmykaj kto może!»...
Z widowni dziejów miljonowe roty
Dezertujące... taki pęd sromoty —
Aż echa tętnią po wieków przestworze! —

Nie myśl o walce — popłoch zamięszania,
Ucieczka, klęska straszliwsza od głodu,
Ucieczka całych pokoleń narodu
Na łeb, na szyję, bez opamiętania.
Panika taka, że jej nie dasz wiary,
Że takiej przeszłość przykładu nie mieści —
Po kilku strzałach!!... Oto trwa czterdzieści
Lat. — Oto depce zdobyte sztandary,
Broń z rąk wytrąca, rozsypuje wozy...
Myśl w proch zaryta... duch lecący — w nogi...
Wścieklizna lęku — bojaźń krwi kobieca...

Te rysy ślepej obłąkanej trwogi —
Ten szczękający zębami jęk zgrozy —
Ta bladość tchórza śmiertelna, szkieleca —
Ten strach nie ludom przystojny — lecz... trodzie,
To twarz dziś twoja — nasza twarz — Narodzie!...

Ziarna krzyczące — krwawej prawdy słowa
Sieję — jałowa niech się wzdrygnie gleba —
I niech w boleści zdrowy plon wychowa...

Bo tak krzyczące o pomstę do nieba —
Jak plama wstydu, co nam krzyczy z czoła...
A tak otwarte — jak serc naszych blizna. .

Kto w serce wierzy — ten mi słuszność przyzna.
Lecz sto serc — temu, kto zaprzeczyć zdoła,
Sto serc zdobędzie — stu serc piorunową
Moc zyska — jeśli sercem wrąc jedynem
Obalić zdoła me bezwzględne słowo —
Kłam mnie, śmiertelny kłam zadając — czynem !

ŚWIĘTO RÓŻ.

UKOŁYSANA.

Powiew poranka po nocy marzenia
Coraz to tęskniej i pieści i chłodzi,
Coraz to cudniej zdrój szczęścia się spienia —
Coraz to słodziej, i słodziej, i słodziej.

Coraz to rzewniej czar do snu ją kłoni,
Coraz to mgliściej jej oko się mruży...
Coraz to tkliwiej drży uścisk jej dłoni —
Coraz to dłużej, i dłużej, i dłużej...

Coraz to bliżej — jej główka zmęczona,
Coraz to śmielej — na pierś mą się tuli...
Coraz to ufniej — garnie się w ramiona —
Coraz to czulej, i czulej, i czulej...

Coraz to rzewniej, i tęskniej i senniej,
Coraz to wolniej serduszko jej dyszy...
Coraz pogodniej, spokojniej, promienniej —
Coraz to ciszej, i ciszej, i ciszej...

NASTROJ.

Na kwiatach — połysk ros...
Tęsknotą dzwoni
Tajemnej harfy dźwięk, co w serce trąca...

Śni mi się drżący głos...
Śni gąszcz kwitnąca
Sniegami wisien i jabłoni...

Śni mi się złoty sen :
W ustroni —
Pieszczota dłoni Twej mdlejąca...

I blady uśmiech ten...
I brzask miesiąca...
I senny połysk migotliwej toni...

Śni mi się jasny zdrój...
Śni, pełen woni
Miód kwiatu szczęścia, co aż w otchłań strąca...

I pocałunek twój —
Ta rosa drżąca
Najświeższej róży Hesperyjskich błoni...

KRAJOBRAZ.

Niech mistrz wymaluje dla niej ukochanej
Krajobraz fantastyczny i zaczarowany...

Niech tam będą niebiosa jasne i błękitne,
Jak jej oczy... doliny, łąki aksamitne...

I świecące się dróżki śród ustroni mglistych,
Złote wzgórza... Gaj, pełen piosnek jej srebrzystych...

I niech będą dnia blaski, jak jej wzrok palące,
Krople rosy jak łzy jej... tęcze w łzach błyszczące...

Lecz niech będą i groty, głuche i tajemne,
Jak tajniki jej duszy... i przepaści ciemne...

I niech do chmur się skała skronią pnie lodową,
Niedostępna, jak pierś jej... I o skałę ową

Niech się rozbija morze, wrzące, niezgłębione,
Jako miłość ma — wielkie — ciemne — i szalone!

W ALBUMIE M. S.

Kwiatów trzeba, kwiatów! — w sennej wiosny dobie
Niech otoczą wieńcem twoję skroń dziewiczą.
Pieśni trzeba, pieśni! — niech w tęsknotach tobie
Rozpogodzą serce wrzące łez goryczą.
Marzeń trzeba, marzeń, byś w poranek złoty
Mogła śnić o raju — jak dziecina mała...
Ale pocałunków trzeba i pieszczoty,
Byś w tem życiu szarem złotą chwilę miała...

NOC TAK PIĘKNA...

Noc tak piękna!... Z błękitów patrzy gwiazd plejada,
Fala gwarzy i błyska ponad tonią ciemną,
Las śpi we mgle i przez sen cichą baśń powiada...
Noc tak piękna!... Ach czemuż ty nie jesteś ze mną?...

Tam, w ogrodzie dwie lilije zakochane rosną,
Woń rozkoszna z kielichów pochylonych płynie...
Tam, za rzeką, dwa głosy nucą pieśń miłosną,
Tęskne echo po wodnej ściele się równinie...

Pieśń zamilkła... Cyt... Słyszę plusk płynącej łodzi...
Łódź przemknęła i znikła, w łódce — ludzi dwoje...
Od szpaleru woń lilij rzewna mię dochodzi...
Milczą brzegi, drżą gwiazdy, lśnią przejrzyste zdroje.

Fala błyska i gaśnie... Lekki wietrzyk wzdycha,
Las się budzi, szmer bieży w jego głąb tajemną...
Wietrzyk ustał, szum zamilkł... Noc tak jasna, cicha.
Noc tak błoga... Ach czemuż ty nie jesteś ze mną?!...

ROZKWITAJ!

Rozkwitaj w snach... A rajskie śniąc ogrody
Zatęsknisz drżąc do pieszczot i cierpienia...
A złote sny, a marzeń korowody
Rozbudzą myśl... A słońca uwielbienia
Upieszczą pąk zamknięty piersi młodej...

Purpurą krwi zapłoną twe jagody,
Purpurą krwi, porywem upojenia —
Z miłosnych czar rozkoszy chłonąc miody
Rozkwitaj!...

Rozkwitaj w kwiat — i cudem swej urody
W odmętach serc namiętne wzniecaj wrzenia —
I szczytny szał, i żądzę, i natchnienia...
W poetów snach, wieńczonych przez narody,
Purpurą szczęść, i sławy, i pogody —
Rozkwitaj!

DWA JAKIEŚ KWIATY.

Dwa jakieś kwiaty na nieznanej łące
Znęciły razem w jedno nas ustronie...

Dwie jakieś gwiazdy, ku sobie ciążące,
Na jedno ciche nas zawiodły błonie...

Dwie jakieś piosnki, zbłąkane w tumanie,
Na jednej harfie gdzieś załkały złotej...

Dwie zorze budzić przyszły nas w zaranie —
Rozlśnione w jeden smętny dzień tęsknoty...

Dwa słońca zaszły ponad ciemną drogą,
Gasnącym szczęścia krwawiąc się obrazem. .

Dwa meteory błysły nam złowrogo —
I w jednę otchłań nas uniosły razem ...

ŚWIĘTO RÓŻ.

Poeci róż, w Fontenay, róż sławili święto,
Czystość kwiatu królewien sonetami czcili...
I któryż wieszcz wyśpiewał czar tak boskiej chwili
Przed różą tak kwitnącą i przed tak nietkniętą!...

Ile żywych rumieńców — ile róż uszczknięto —
Ile słońc kochankowie w otchłań serc strącili
W dniu róży, dniu różowym, gdy jak rój motyli
Poeci róż, w Fontenay, róż sławili święto...

W rozkoszy tonął świat... tęsknoty szmer miłosnej
Drżeniami szczęścia wiał przez kwiaty, przez powoje —
Z dziewiczych budził snów królewnę w kwiat zaklętą...

Czarami pierwszych róż kwitł ołtarz twojej wiosny...
I wrące, pełne burz, płonęło serce moje,
Namiętnych blaskiem łun—twe pierwsze złocąc Święto.

TRAGEDYA KRWI.

PIĄTY ŻYWIOŁ.

W orgii żądz rozpasanych i knowań zbrodniczych,
W świście dusznych oddechów łon kipiących znojem,
W krwawych tętnach arteryj zmysłów tajemniczych
Słyszę głos, co jak burza grzmi nad sercem mojem.

Echem dzikiej potęgi grozą przejmującej,
Tajnych bytu otchłani przenikając ciemnie,
Rozlega się złowrogi i tryumfujący
W tętnach świata — podemną —wkoło mnie—i we mnie.

Głos woła: «Ja krew jestem... Życiem świata całem
Wstrząsam... Mózg ci się zmąci, gdy mój przypływ wzbie-
[rze,
Gdy jak gromem uderzę w twoje serce szałem
Ty, bóg myśli zuchwałej, stracisz myśl, jak zwierzę.

Próżno, człowieku, wierzysz, że twój duch pokona
Potęgę mą odwieczną, ciemną, żywiołową —
Jam większy, niźli ogień, niźli toń szalona,
Niż powietrze, co gromy zbiera nad twą głową.

Jak Ogień ziaren śmierci, Powietrze zarazy,
Jam pełen ziarna szaleństw i złych żądz nasienia,
Co wschodząc po sto razy i po tysiąc razy
Będzie rzucać na zbrodnie całe pokolenia.

W liczbie szaleństw (tych mędrcy, jako gwiazd nie zliczą),
Wzniecam nienawiść, zemstę, gniew kipiący pianą
I miłość, zbrodnię najmniej ze zbrodni zbrodniczą,
Lecz najbardziej złowrogą i niepokonaną.

Przede mną wiara w strachu cofa się pierzchliwym,
Duch mroczy się, wzrok mąci, głos sumienia zcicha,
I nawet twoja niczem nie zwalczona pycha
Przed moich burz namiętnym spłaszczy się przypływem.

Próżno wyciągasz dłonie do słońc ideału,
I próżno chcesz mnie zwalczyć swoimi anioły,
Głąb moja cię uniesie, wrzącą falą szału,
Choć unikniesz rozbicia przez inne żywioły.

Próżno rozum twój, cnota, wola nieugięta,
Pragną ująć mię w karby... Próżno wstyd surowy,
Jak ów mocarz ocean, chce mnie zakuć w pęta,
Ja pozrywam twe mosty, strząsnę swe okowy.

Żywioł mój wiecznie twemi będzie grzmieć klęskami...
Choćbyś za niezliczone gniewny nań zniszczenia,
Chciał mnie, jak Kserkses morze, poskramiać rózgami...
Naiwny władco świata! Królu wszechstworzenia!

NAGOŚC.

Wszystko, co kocha, obsłon pragnie zdzierać szaty
I obnażać namiętnie ukochane łona.
Mędrcy z obsłon najskrytszych chcą obnażyć światy.
I bezpłodna jest miłość cnotą ujarzmiona.

O Piękno! zstąp żyjące przed oblicze ludu
I odsłoń się jak Fryne szczerzej, śmielej, prościej ;
Bez targów nierządnicy, bez tajnego brudu
Zepsucia, co w zamkniętej gnieździ się świętości...

Niech zadrżą nabożnisie... Ale wzrok artysty,
Ani myśl przed nagością się nie cofnie wieszcza:
Z ognia krwi zdrowej bucha płomień duszy czysty —
I nic, jak żywe ciało, cudu jej nie streszcza.

Poezyo! Leć nad śnieżne Ideału góry...
Lecz niech ci nie przeszkadza ducha moc żelazna,
Kochać nagość Kobiety, Życia i Natury,
Bez obłudy świętoszka, bez cynizmu błazna.

Miej odwagę to bratać, czego tłum nie brata
I słuchać, jak grzmi bólem szczere natchnień tętno,
I rzucaj się na łono Wielkiej Prawdy świata —
Miłością ją pokonaj śmiałą i namiętną!

O stań się dla wybranych tą siłą fatalną,
Co pcha tam, kędy zgraje nie śmią spojrzeć zblizka.
Leć, leć tam — i zwycięzka ręką szarp brutalną
Zasłonę, — gdzie jak Słońce, Wielka Nagość błyska!

WSTYD.

Nad łożem Niewinności wiotkiej i dziewiczej
Całe chóry aniołów niewidzialnych wieją,
One dyszą w uśmiechu, w głosu jej słodyczy
I w spojrzeń jej pogodzie świty zórz ich dnieją.

Anioły, Liliowością bladą idealne —
Wstydów duszy wiośnianych... one nad jej skronią
I wkoło jej kibici krążą niewidzialne,
I łona jej świetlanej pół-senności bronią.

I ducha jej kołyszą... stroją wdzięku czarem
I przed wzrokiem natrętnych, co spojrzeniem plami,
Spuszczają rzęs zasłony... i przed Grzechu żarem
Czystą postać śnieżnemi okryć chcą skrzydłami.

One Wieniec Mistyczny dla jej skroni plotą,
Wplatają aureole w jasne jej warkocze —
Anioły lśniące Gwiazdą Niewinności złotą...
Biedne, smętne anioły, chociaż tak urocze!...

Bo ledwo miłość w sercu zatli się dziewiczem,
Po skrzydłach ich świetlanych dreszcze zgrozy biegą:
I stąd ta trwoga drżąca, jak przed czemś zbrodniczem—
Przy pierwszem całowaniu ust ukochanego.

Gdy on zbliża się ku niej — one czujną rzeszą
Już lecą, by bezbronnej jak przed wrogiem bronić...
Gdy sięga do jej rąbków — jak na alarm spieszą
Wstydem złoto-różanym nagość jej obsłonić.

I pasują się długo... przeciw chuciom rwącym
Walczą z wrogiem w rozpaczy pełne drżeń i łkania
I nareszcie w tym krzyku — w tym rozdzierającym
Krzyku jej bezbronności — słychać ból konania...

Już padły podeptane... Już nad łożem ciemnem
Zagasły cudne blaski... Tylko cisza głucha
Szemrze jeszcze ostatniem tchnieniem ich tajemnem —
Tą ostatnią modlitwą ich nikłego ducha.

O świcie — smutek wieje z oczu jej — już mglistych —
Jak dym od zgasłej gwiazdy nad zamierzchłą tonią...
I niema już, o niema jej aniołów czystych
I wieńca liliowego, z tą mistyczną wonią!

WĄŻ.

W nocy, gdy świat się w mroki pogrąży bezwładne,
I uśnie w zimnych brzegach, toń zdrętwiała morza:
Ja w twą alkowę senną cicho się zakradnę,
Podpełznę niewidzialny do twojego łoża.
I tam, gdzie się twa postać w świetle nocnem bieli,
Gdzie skroń twa tajnym znojem gorączkowo pała,
Przyczołgam się do ciepłej ciepłem twem pościeli
I do wezgłowia twego dziewiczego ciała.

Pod rąbki twej bielizny, szyją gadu ślizką,
Wśliznę się do nagiego, dyszącego łona,
Jaszczurczą piersią przylgnę doń tak blizko, blizko —
Jak żadna pierś doń nigdy nie była zbliżona.
Potem, w długie objęcia ujmę twe ramiona,
Kształtne nogi i biodra, krągłą pierś i szyję —
Wokoło ciebie całej cały się obwiję! —
I nareszcie — ty ze snu ciężkiego zbudzona,
Ockniesz się — i przejęta rozpaczliwą trwogą —
Ujrzysz ponad swem czołem głowę mą złowrogą
I dwoje ócz jaszczurczo utkwionych w twem oku,
Bezlitośnie płonących pożądliwym żarem...
Wzdrygniesz się, zechcesz krzyknąć—lecz pod strasznym
[czarem
Tego bezlitosnego wężowego wzroku,
Zamrze ci głos — i serce skrzepnie — i bezwładnie
W połomdleniu rozpaczy głowa ci opadnie —

I z przymgloną powieką — obumarła ciałem —
Roztulisz drżące usta...

Wtedy — z dzikim szałem —
Ja gwałtownie zacieśnię swych uścisków zwoje,
W objęciu swem duszącem pierś twą ścisnę śnieżną —
I w słodkie twoje usta z tkliwością lubieżną,
Śmiertelnym tchnące jadem żądło chciwie wpoję.

BEZPŁODNOŚĆ.

Jest tragizm niepojęty w bezpłodności męce,
Która pali bez ognia i spopiela duchy;
W niej Życia geniusz twórczy załamuje ręce —
I serca drżąc w niej słyszą wyrzut skargi głuchy...

Jest klątwą Zatracenia... Nad synowską głową
Ojcowie nią z bezwzględnem grzmieli okrucieństwem —
Ta klątwa nad ludami dzisiaj grzmi surowo —
I rody niezbłaganem ściga wciąż przekleństwem.

Ona ściga tych, którym jako w Lety rzece,
W mętach Grzechu rozpusta topi ducha wściekła;
Tych, co cisną się w orgie inkubów szkielece,
Pijąc rozkosz bezpłodną, wyniesioną z piekła.

I tych, co lgnąc do kobiet, jak puste szkielety,
U łon ich się jak żmije bez miłości kurczą,
I tych, co dysząc jadem Martwego Planety
Zarazę w zdrowe ciała wpajają jaszczurczo.

I was, o niewolnice sprzedajnego łoża,
Które rozpacz lub nędza w mętną otchłań pchnęła,
Które zbrodnia lub Wola odtrąciła Boża
Od wspólnego, Świętego Wszech-Twórczości Dzieła.

Za każdą rozkosz piersi, co nie drgnie porodem,
Za każdy pusty uścisk, który nie zapłodnia,
Ból ssać was będzie tajnym macierzyństwa głodem,
I bladej Nemezydy błyśnie w nim pochodnia.

Lecz nikomu tak kara nie zapłonie krwawa
Jak wam, przedziwni mistrze w gnuśnym zdrajców [sprycie —
Rozmyślni gwałciciele Najwyższego Prawa —
Mordercy Cudu Życia, zanim wzeszło Życie!

Wyrodny!... Jeśli z plamą, z sumieniem zatrutem,
Spojrzysz w oczy swej matce—po zbrodniczym czynie—
Wytrzymaj wzrok, co z niemym powie ci wyrzutem:
— «Kainie! coś uczynił z dzieckiem swem, Kainie!»

O klątwo Bezpłodności!... Wiecznym ssąca głodem
Zgryzoto serc zszarganych!... Pustko bezgraniczna!...
Włos jeży się na głowie... pierś przenika chłodem...
I w duszę jakaś rozpacz wdziera się Mistyczna...

Spójrz! Świat się gnie pod Grożą *Pusto-Kwiatu* ciemną...
Bo czuje jak z przeznaczeń otchłani bezdennej
Fatum zwiastuje ziemi — tą grozą tajemną —
Klęskę geniuszów Życia — i tryumf Gehenny.

ŚWIĘTOKRADZTWO.

Stracił ją... Lecz odnalazł... Z pod kamiennej straży
Wydarł, porwał w objęcia i uniósł przemocą,
Pchany żądzą zbrodniczą, co mu biła z twarzy,
Biegł z nią burzliwych niebios ukrywany nocą.

W głuchą i pełną grozy zaniósłszy ją stronę,
Z troskliwością na senne opuścił posłanie
I szeptał jej wyrazy miłością szalone,
Chociaż była milcząca i nieczuła na nie.

Z tkliwością obłąkanych złowieszczo łagodną,
Patrzył w twarz jej, rozgarniał włos nad czołem złoty,
Całował skroń jej bladą, lica, wargę chłodną,
Niepomny, że mu wzajem nie zwraca pieszczoty...

I z boleścią swej żądzy tragicznie lubieżną
Rzucał jej się na łono — przy błyskawic łysku —
Szarpał odzież jej chucią miotany bezbrzeżną,
I w dzikim nieprzytomnie tulił ją uścisku...

I ledwo, gdy świt w chmurach zabłysł lodowaty —
Blady, jak bladość twarzy zdjętej przerażeniem —
I wionął w twarz mu ostrem, przejmującem tchnieniem,
I gasząc chuć w nim, brzaskiem obielił jej ciało,

Bierne — zbrukane zbrodnią — obnażone z szaty,
Poszargane szaleństwem świętokradzkich gwałtów,
Gdy spostrzegł sine wargi, powiekę zczerniałą
I niemą nieruchomość jej ostygłych kształtów:

Na jeden przebłysk myśli — pod czaszką wszeteczną,
Na mgnienie — gdy obłędu spadła zeń skorupa,
Na krótką chwilę — zgrozą przerażenia wieczną —
Pojął, że przez noc całą miał w objęciach trupa.

ZA KIM?

Zdaje mi się, że schodzę w jakąś otchłań ciemną,
Głębiej, głębiej i głębiej — w czarny odmęt Mroku —
I idę w czyjeś ślady... Za kim? Kto przede mną?
Ktoś ty? i z jakiejś strony, mistrzu mój, Proroku?

Ktoś ty, co krwawą Grozy świecisz mi pochodnią?...
Wirgili? co Dantego wiódł nad Piekieł leże? —
Posępny cień Manfreda, co tam szedł ze zbrodnią?
Lub ty szczęśliwym obcy, smętny Baudelair'ze?

Ktośkolwiek jest -- za Tobą w te kręgi piekielne,
Idę żądny otchłani — z wieczną klęską zbratan,
W Noc, w Rozpacz — w samo jądro Chaosu śmiertelne....
— Ktośkolwiek jest przede mną — odsłoń twarz...
— Tyś Szatan ?!

KRZYK SODOMSKI.

Rokosz przeciw najwyższym Prawom Przyrodzenia,
Omyłki Twórczej Ręki skutek niepojęty,
Sodomskie żądz zwichnięcia i zezwierzęcenia,
Tajnej Samozatraty grzechu, czyn przeklęty.

Chuć martwa, bezcelowa, co się w starcach żarzy,—
Rozpusta małych dzieci o czaszce kretynów:
Te klęski, o ludzkości, z twego ducha twarzy
Biją piętnem jaskrawszem, niż piętna Kainów!

W sercu, miłością jakąś nienawistną chorem,
Żądzy krwawych «rozprówań» dziki żar wybucha...
We współce z hyenami nad grobów otworem
Szaleją Nekrofilie... Noc je tai głucha...

Spójrz w przeszłość, widzisz rzeszę, tę rzeszę męczeńską
Zgwałconą ascetyzmu złowieszczą swawolą...
Hańba samobiczowań syczy wszeteczeńsko —
Świętości promieniejąc zwodną aureolą...

W tych krwawych paroksyzmach, co rażą jak gromy,
Jakaś rozpacz złej chuci miota się złowroga.
Z tysiąca ciał skazanych tej Wiecznej Sodomy,
Tysiącem tajnych gwałtów bije krzyk do Boga.

Z zbrodni tych Płomień Zemsty jakiejś Wiecznej wzrasta...
I błyska miecz krwawego, ognistego kształtu...
— Uchodźcie, Aniołowie z skazanego Miasta,
Zanim lud się dopuści na aniołach gwałtu!

NURT WIECZNOŚCI

Kędy zmierzasz? gdzie pędzisz w burzliwym porywie
Potęgo niezgłębiona, bezbrzeżny przypływie
Żywiołu tajemnego, co wzbiera nam w łonie
I tętni w pulsach serca?!...
O Falo spieniona,
Ciemna, slepa, namiętna, wzbierająca szałem,
Ty huczysz, tętnisz, kipisz i o nasze skronie
Uderzając, zalewasz, mącąc się nam łona —
Mózg — i serca — i oczy, i dymiącym wałem,

Nas rozbitków do Ducha płynących krainy —
Porywasz — i kołysząc, miotasz rozszalała,
I dziko pchasz ku gromom, albo rwiesz w głębiny,
I rzucasz nas złowrogo na kobiece ciała,
Raniąc, jak o głaz ostry, o ich kształt omdlały...
Więc chwytamy się ciał tych — w krwawej Rozbić Nocy,
I garniemy się do nich — jak do nagiej skały,
Ratunku nie znajdujem — i bez sił, w niemocy —
Opadamy z rozpaczą!...

A ty rwiesz bez końca —
Rozlewasz się, kotłujesz, kipisz i kipiąca
Znów zewsząd nas ogarniasz w rozhukanym pędzie
I miotając, w rozwarte niesiesz znów otchłanie,
I rozbijasz nareszcie o swych skał krawędzie —
— O miłości! Rozpaczy! Szaleństwa Obłędzie!
Nurcie Wiecznych Pożądań! Krwawy Oceanie!

SARKAZMY.

«GDY NARÓD SZEMRAŁ»...

Gdy naród szemrał, że w niedoli żyje,
Łaknąc Wolności, i gdy go kąsały
Buntowniczości płomieniste żmije,

Na które srodze lud zaniemógł cały:
Wówczas mu węża upletli wodzowie
Z rzemienia, z skóry surowcowej, trwalej,

I wznieśli wgórze ponad rzeszą szarą,
By wciąż nad sobą czuli go mężowie...
A kto na węża tego spojrzał z wiarą —

Cudownie przez to wnet odzyskał zdrowie...

KREW ABLA DO JEHOWY:

Kain był pyszny i srogie miał serce,
Abel cnotliwy i godzien nagrody...
— I otoś przeklął Kaina — mordercę:

Kain, przeklęty, pobudował grody
Z żelaza... sługi ma liczne i żony,
I mnogie synów zeń idą narody...

I ktoby zgładził Kaina — zostanie
Nie raz, lecz siedmkroć, przez Twój gniew zgładzony...
— Otoś Ablowi błogosławił, Panie:

Trup Abla krucze rozszarpały szpony...

PRZEJDĄ...

Jeżeli tłuszczę, co na głos twój glucha,
Przed widmem krwawej ustrzedz chcesz zaglady, —
To jeślić męstwa brak w sercu i ducha

By krew jej oddać swą — daremne rady,
Nie wstrzymasz ślepców próżnym skarg swych znojem.
Lecz gdy jak Rejtan, w progu klęsk i zdrady

Staniesz — i padniesz — i zlany krwi zdrojem
Skonasz, wołając na te rzesze głupie:
Po trupie chyba wy przejdziecie moim —

To wtedy one... przejdą po twym trupie!..

BAŁWANY.

Są na morzu bałwany, kiedy burza dzika
Na niem wichrzy... Lecz z ciszą — tłum bałwanów znika,
I woda się wygładza, a okręt pomyka,

Spokojnie płynie, żagle rozwinąwszy białe...
Są na lądzie bałwany: ich widma wspaniałe
Unoszą się nad światem przez stulecia całe...

A świat korny na klęczkach liże ich podnoże...
I zarówno w czas burzy, jak o cichej porze
Zmącają te bałwany całe ludu morze...

PROMETEUSZ DO SĘPA

Pamiętasz, sępie, zorze krwią zalane,
Gdyś z chmur raz pierwszy na mnie spadł,
I pierwszą w piersi mej rozdarłeś ranę

By serce gryźć, co nieśmiertelne wciąż
Wciąż odrastało — wyżerane...
Dziś głębiej szpon swój jowiszowy wdrąż...

Dziś słabnie serce w wiekuistej ranie
I gdy — po przejściu nieodrodnych lat —
Odrastać całkiem już przestanie :

To cóż ty, sępie, będziesz jadł?!

GDY JA W ZMIERZCHACH DRZEMIĘ.

«GDY JA W ZMIERZCHACH DRZEMIĘ»...

Być może, iż w tej dobie, gdy ja w zmierzchach drzemię,
Śród mgławic się zapala jakieś wielkie słońce;
I może jakaś świetna myśl nawiedza ziemię
I drżeniem serc przebiega wszystkie świata końce.

Być może, że już nawet jakiś mąż niezłomny
Dla wiary swej nadgwiezdnej wstał po wawrzyn krwawy,
I nieba może sięgnął jego czyn ogromny —
I raj dla przyszłych ludów zdobył szczęść i sławy...

Być może!... Lecz być może, iż w tej samej dobie
Nieznana czyjaś matka łka gdzieś nad mogiłą —
I łza jej żwir przesiąkłszy spada tam, aż w grobie,
Na zimne, puste serce, co się w proch zetliło...

KUŹNIA.

W otchłani wieczystemi kotłującej dymy —
Jest kuźnica Chaosu... Tam — na służbie kornej,
W pożarach, niebosięgłe pracują Olbrzymy —
Kują z bryły kosmicznej jakiś byt potworny...

Mięknie bryła od żaru wieczystych płomieni,
Kształtując się pod gromem nieustannym młotów
Ogniami tęcz mistycznych krwawi się i mieni...
Rychło — widzą Olbrzymy — będzie trud ich gotów.

Huczy piec, w mrok Wieczności łunę siejąc jasną,
Drżą kowadła, z pod młotów skry padają grzmiące,
Lecą w przestrzeń bezmiarów, świecą się — i gasną...
Jedna z tych skier — to nasze nieobjęte Słońce.

SENNOŚĆ.

Śpią lądy we mgle gęstej, która świat spowiła,
Pod gęstą mgłą, co niebo zaciągnęła wgórze;
Śpią morza, niepojęta magnetyczna siła
Ujęła oceany, ugłaskała burze.

Śpią cicho na bezdrożach statki rozproszone,
W niebiosach przewodnicze śpią nad niemi gwiazdy;
Śpią orły, śpią podchmurną opuściwszy stronę,
Umilknął nad skałami grzmot ich górnej jazdy...

Spią kwiaty, pośród kwiatów senne drzemią żmije...
I tylko na jeziorach płaczą gdzieś łabędzie...
A tu, przy chatach naszych, pies na księżyc wyje...
I przez sen głupi kur obwieszcza, że... dzień będzie...

KAIN.

Wgórze — Olbrzymów-Skał orszak ponury
Na barkach nagich dźwiga nieb sklepienia,
I niby orłów stado czarne chmury
Obsiadły wieńcem jego pierś z kamienia.

Nadole — potok w mrocznej szczelin głębi —
Rzekłbyś potworny gad, pełznący w piekło,
Łyskliwem cielskiem zwija się i kłębi
I z głodnej paszczy — bucha pianą wściekłą!

Droga, po której deptały Szatany
Łamie się w wąwóz pod urwiskiem dzikiem...
A dołem — Kain biczem Jędz smagany —
Ucieka, w trwodze, z przeraźliwym krzykiem...

ZMROK.

Szara przyszła godzina... i na całym świecie
Wszystko barwę straciło. W sadach zblakło kwiecie,
Tęcze znikły, dzień spłowiał... Nawet słońce samo
Słońce stało się jakąś dziwną, mętną plamą.

Nie świeciły bez blasku płonące ogniska...
I źrenica człowieka ogniem nie połyska —
I krew czerwień straciwszy, lic mu nie rumieni.
Nigdzie światła nie było, choć nie było cieni.

I zwolna cała Ludzkość stawała się marą
Jakąś czczą, beztreściwą, niekształtną i szarą...
A nareszcie i całe niebo z ziemią całą —
W jedną jakąś mgłę szarą — w jedno *nic* się zlało...

SYZYFY.

Nad głową — mrok, odmęty przed oczyma,
Za gromem grom, za nurtem nurt się zrywa;
Ocean wre i pieni się i wzdyma —
Przypływa wciąż, odpływa i przypływa.

Olbrzymy wód podnoszą zgięte szyje,
Na lądów zrąb wtaczają głąb podziemną;
I wściekły ryk ich w stropy niebios bije, —
Gdzie niema gwiazd; i ciemno, ciemno, ciemno.

Wtaczają wał, wtaczają na wybrzeża —
Aż ruszą w dół — w Hadesu noc okrutną...
I znów ich szturm o piersi skał uderza, —
Gdzie nie ma serc... i smutno, smutno, smutno.

«ZNIJDŹ-ŻE TY KU MNIE!...»

Znijdź-że ty ku mnie, gdy chmurno dokoła i ciemno,
Droga, jedyna!
Przybądź z nadzieją, gdy troską tajemną, daremną
Ból mię ugina.

Zlej się, jak balsam łagodna, kojąca, gojąca,
serca kutusze,
Czarem muzyki, pieszczotą promieni miesiąca
Spłyń na mą duszę.

Zagość w mem życiu, gdy klęski przez otchłań je wiodą,
Szczęścia promieniem, —
Ciepłem ożywczem i rajem i złotą pogodą —
I ukojeniem!

«PŁYNIEMY TAK BEZBRONNI...»

Płyniemy tak bezbronni, cisi tak i sami...
Wir straszny porwał ziemię — biedną łódź zbłąkaną.
— Spójrz! jaki wał niezmierny zamknął się nad nami
I pękł — i śnieżną mgławic się zakłębił pianą.

— Słyszysz? z drzewa Wieczności cicho tak, niezmiennie,
Opadają narody — jak pomarłe liście...
Jako miłość serc naszych w ciągłej żądz Gehennie
Krwawy Skorpion Wszechistnień wije się wieczyście.

Jako słonie znużone, przed skonaniem blizkiem
Dążą senne ku wspólnej swych cmentarzysk łące:
Staczają się z bezmiarów światy konające —
Aby na dnie wieczności martwem ledz zwaliskiem.

WICHER NAM ŻAGLE POZDZIERAŁ...

Wicher nam żagle pozdzierał, połamał nam maszty,
Statki nam w drzazgi zdradliwa rozbiła mielizna —
Pożar zrujnował zagrody i grody i baszty...
Gdzież nam dola i rola i dom i ojczyzna?...

Grady nam żniwa potłukły i pracę zniszczyły,
Z falą i z dymem ojcowska spłynęła puścizna,
Piorun nam krzyże z nad świętej pozwalał mogiły...
Gdzież nasza dola i rola i dom i ojczyzna ?...

Zdrada nam czaty pokradła, sztandary wydarła,
Ducha z serc naszych jak cicha wyssała trucizna...
Boga z gwiazd naszych strąciła — i w proch rozpostarła,
Gdzież nasza dola i rola i dom i ojczyzna?!...

STYGMATY.

ŁASKA.

Otom przyszedł z nicości, łask i mąk niesyty,
Ukochania ekstazą przyjąć świata rany...
Ręce w gwiazdy wyciągam, w proch się gnę kolany,
Oczy hostyj wieczystych napoiłem świty.

Oto duch Człowieczeństwa do głazów przybity
Zwisł — słońcami stygmatów grzmi rozkrzyżowany.
Krew się w kwiaty skorala, łzy sperlają w piany
Jprzez błękit srebrnymi kapią stalaktyty...

Cierpię... noc Twych przerażeń z mojej bije twarzy...
Płonę... wstyd Twój ogniami z moich lic się żarzy...
Walczę... jęk Twej niemocy z moich ust się zrywa.

Oto byt — oto łaska Człowieczeństwa żywa
Skrwawieniami nad mrokiem moich nędz się waży,
Majestatem poniżeń ku mej piersi spływa...

PRAGNĘ.

Pragnę... duch mój omdlewa... krwawiącemi biczy
Mąk znękany, pragnieniem ukojenia płonie.
Pierś Twym bólem przebita, w Twoich cierniach skronie,
— Oto napój trujący mętów i goryczy...

Serce głodem wieczystym pożądania krzyczy,
Tęsknotami ku rajskiej się wydziera stronie...
Pragnę rosy ożywczej w nieustannym skonie —
— Oto napój trujący mętów i goryczy...

Pragnę w sadach Twych krzewić cud przebaczeń święty:
— Oto dłonie me twemi zdruzgotane gromy,
Wszerz Twych mąk rozpostarte, w Twojej krwi się znoją....

Pragnę iść ku Twym rzeszom, pokój siać w odmęty:
— Oto stopy me sztywne, wrosłe w hańb poziomy —
W krwi — do drzewa niemocy przygwożdżone — stoją.

KONAM.

Konam — w los Twój wcielony, w Twoję krew i w ciało,
Oto kres udręczenia — głucha pieczęć światów —
Ciemny stygmat nicestwa... Oto przestrach katów...
Oto żal ukochania z szatą niewiast białą...

Oto niemoc żałoby... Włos Magdalen złoty...
Oto łzawość zachwytów ekstotycznych błyska...
Oto krzyki : « syn Boży ! » — wrzask urągowiska...
Oto włóczń miłosierdzia dojmujące groty...

Oto chłód zastygania... Chłód i śniedź zjadliwa...
Oto zórz zaświatowych świta brzask promieni...
Oto tryumf otchłani... trumien zgrzyt ponury...

Oto wicher się zgrozy wiekuistej zrywa —
Oto Słońce krwią gaśnie... Zgiełk i jęk w przestrzeni —
Wieki lecą w proch... Ziemia drży... Kruszeją góry...

NA STAREJ HARFIE.

NA STAREJ HARFIE.

Jak boska Wenus z łona morskiej piany —
Ze śniegów wyszła wiosna — i bez burzy
Zwalczyła zimę, co jak pan nad pany
Władała światem... Wszystko szczęście wróży
I wszystko żyje... Wczoraj rzek kajdany
Lodowe pękły... Dzisiaj polnej róży
Pączki pękają — aż się słowik płoszy...
I serca tkliwe pękają — z rozkoszy.

Bo przyszła miłość — i w tę noc majową
Zakwitła szczęściem w tajemniczym sadzie —
Na ustach wyznań złote budzi słowo,
Drżący całunków kwiat na skronie kładzie...
Fijołki rosą skąpane miodową
Wzdychają w sennej z gwiazdami biesiadzie...
Strumienie gwarzą snując się po łące —
Jak srebrne, w baśni, węże — śpiewające...

I gwary sadów, i serc ludzkich drżenia —
Wszystko się w jeden zgodny akord splata —
W tysiąco-stronny hejnał odrodzenia,
Który jest pieśnią nad pieśniami świata.
A od tej — chorym krew się zarumienia...
I serce karłom nawet zakołata...
Ta pieśń łka w gromach, ta pieśń grzmi i w ciszy —
A pieśń tę wszystko to, co żyć ma, słyszy.

Słowik i Wiosna — nucą ją we dwoje,
Drży serce ziemi w swej głębokiej cieśni,
A echa lecą ponad sady, zdroje,
Chcą wnijść do nieba, nim się noc nie prześni....
I ja podjąłem z ziemi harfę moję
I wzniosłem ramię, by w niej zakląć pieśni,
I chciałem śpiewać z wiosną raj świetlany —
I z pieśnią lecieć w niebo... lecz — kajdany!...

Gdy wezmę harfę, zawsze mi się marzy,
Że na mych rękach rdzawy łańcuch dzwoni,
I w oczach staje rząd posępnych twarzy,
I setki skutych błagających dłoni,
I pustki ruin i zgliszcz i cmentarzy...
I tłumy sierot, których Bóg nie broni...
I cały naród w hańbę, w proch wdeptany,
Co mógł ku słońcu lecieć, lecz — kajdany!

I załkał słowik... A mnie żal zdjął srogi
Na myśl, że bracia moi tak się wiją
I drżą, pełzając u depcącej nogi,
Kąsani swoich pęt żelazną żmiją,
Że gdy wód jarzma prysły, w jaśni błogiej —
Wolne strumienie wolnem sercem biją —
Gdy zieleń dumnie buja na swobodzie:
Dla Ciebie niemasz wiosny, mój Narodzie!

Wiatr strząsa rosy... Słowik już nie nuci,
I baśnią światu nie kołysa ducha,
Zamilkł, jak wieszcze, co niemieją, skuci...
A pewny byłem, że mych myśli słucha
I ze mną razem dziwi się i smuci,
Ześ ty tak cichy, że twa pierś tak głucha,
Że kiedy piękność taka gra w przyrodzie:
W tobie nie bije życie, mój Narodzie!

Nie! tyś nie odżył jeszcze... Lecz dla ciebie
Nie takiej wiosny trzeba, jak ta cicha
Co deszczem kwiecia ku twej prószy glebie,
Szumami raju ku niej się uśmiecha...
I nie tej pieśni, która dźwięczy w niebie
Po gwiazd promieniach, gdy z lilii kielicha
Wyjdzie woń cudna i ku stwórcy świata
Jak dym od białych ołtarzów ulata...

O! innej wiosny trzeba dla tej ziemi,
Gdzie w snach niemęstwa kona duch tajemnie...
Gdzie bez ratunku w grób wrastamy niemi
I w przyszłość patrzym, jak w przepaści ciemnie.
Gdzie choćbyś krzyczał piersiami całemi
Wołając: «światła!», «walki!» — to daremnie.
Dziś — choćby dzwony zmartwychwstania biły,
Nie zerwą pleśni z naszych serc mogiły.

O! innej pieśni trzeba tej krainie,
Gdzie stopa silnych serca, gardła depce,
Gdzie iskra czynu w synów jej drużynie
Z podmuchem trwogi zgasła już w kolebce,
Gdzie każde źródło strugą jadu płynie,
A każde zdziebłko o pokorze szepce...
Gdzie tylko gwałtu gwiazda świeci w nocy —
A we dnie — słońce płomienne przemocy!...

* * *

I tak samotny, z pochyloną głową
Dumam nad dolą mej sennej ojczyzny...
Bo dziś w tę jasną, cichą nie majową
Sercu się dawne przypomniały blizny...
I na wiosenne odrodzenia słowo
Wiele się w duszy zebrało trucizny...
I rezygnacyi zimnej pękły lody —
A pierś zechciała szczęścia i swobody.

Dumam... Na dole mgła się snuje blada,
Ale tam, w górze jasno tak i pięknie...
I tylko czasem z niebios gwiazda spada,
Na ziemi czasem czyjeś serce pęknie...
Dumam... A czasem głucho las zagada...
Czasem zdrój pluśnie, czasem słowik jęknie...
I wiem już teraz z sercem tak rozbitem,
Że słowik nieraz kończy pieśń swą — zgrzytem...

Dumam... A łzami zwilżona powieka
Niemo w dal patrząc o los jutra pyta...
A wszystko cichnie dokoła... zdaleka
Świeży wiatr powiał... Ziemia mgłą spowita
Milczy i marzy: ziemia słońca czeka...
A gwiazdy gasną, nad lasami świta...
I dzień powstaje w blaskach i w pogodzie —
Lecz czyż dla Ciebie świeci, mój Narodzie?!...

« O SPADNIJ, ROSO ŚWIEŻA »...

O spadnij, roso świeża,
Od rajskich szczęścia bram!...
Jak słodki szept pacierza
Orzeźwij dusze nam.

W noc żalu, noc tęsknoty
Z przebłyskiem jutrzni złotej
Zajaśnij doli mej!

Na ciemne trosk mych łany,
Na żywot w proch wdeptany
Na znojne serca rany
Swój balsam czysty zlej!

Już wszystkie wonie kojące
Z róż polnych wyschły kielicha...
Konają kwiaty na łące,
I kłos za kłosem usycha.

Szarańcza ciągnie przez niwy
W zagrody dżuma wkroczyła...
Od wschodu wicher straszliwy
Za plagą plagę przyszyła.

O powiej mgłą poranną,
Żywicznych lasów tchem —
I zagość świętą manną
W samotnem sercu mem.

Jak dziecka sen radosny
Tchnieniami zdrowej wiosny
Znękaną otocz skroń.

W bezpłodne zwątpień głusze,
W płomienne klątw katusze,
W spragnioną szczęścia duszę
Kroplistym dżdżem swym wioń!

Już wszystkie wonie kojące
Z róż polnych wyschły kielicha;
Konają kwiaty na łące,
I kłos za kłosem usycha.

Szarańcza ciągnie przez niwy,
W zagrody dżuma wkroczyła;
Od wschodu wicher straszliwy
Za plagą plagę przysyła.

O łasko ukojenia,
Spłyń w duszę schnących ziół!..
Na ugor pełen drżenia
Schylonych serc i czół!

Kroplami rosy — manny,
W promykach zorzy rannej,
O spadnij, jasna mgło!...

Z krainy spłyń dalekiej,
W trawiące dum mych spieki...
Na rzęsach mej powieki
Świetlaną zadrżyj łzą!

«DZIECI DAWNO POSNĘŁY...»

Dzieci dawno posnęły dokoła
Północ... Wicher zawodzi w kominie...
— Jakaż z Raju piosenka wesoła
Uśmiech śpiącej przyniesie dziecinie?...

Braknie drewek na jutro i chleba,
Głód sierotom doskwierać zaczyna...
Ojciec poszedł w gościnę — do Nieba...
Zmróż oczęta... Już późna godzina...

Nucąc piosnki nad dziecka kołyską
Anioł czuwa od zmierzchu do świtu...
Widzisz? — gwiazdy są od nas tak blizko,
Aż je można zdjąć rączką z błękitu!

Motyl skrzydła opalił na świecy...
Takie barwne, wzorzyste miał skrzydła...
— Nie otwieraj półsennej źrenicy,
By w ciemności nie ujrzeć straszydła.

Braknie drewek na jutro i chleba...
Oczu troska nie zmruży matczyna...
Ojciec poszedł w gościnę — do Nieba,
Gdzie tęczowa się kwieci równina.

Tam — po gajach jak w cichej alkowie
Złotowłose mieszkają poranki...
Tam, jaśniejąc, w zielonej dąbrowie
Chrystus smutne pociesza baranki...

Z rozgwarami wieczornej muzyki
Sny po kwietnych ścigają się błoniach...
W trawkach żywe się sączą promyki,
Jak rzeczółki mruczące w ustroniach...

Jak rzeczółki zórz świecą zwierciadła...
Piosnki kwitną po łąkach, jak kwiatki...
— Spójrz! to gwiazda w kołyskę upadła —
Srebrna gwiazda z błękitów... łza matki...

LUNATYCY.

Nie budźcie lunatyków, co na blask księżyca
Wychodzą z chat, — gdy ognie po ulicach gasną;
I idą w dal, za gwiazdą obracając lica...
Nie budźcie lunatyków, w noc miesięczną, jasną.

Nie budźcie... Bo gdy nagły krzyk wasz ich uderzy,
Gdy zbudzi się lunatyk zawołany zdradnie,
I ujrzy się wiszącym na wierzchołku wieży...
A pod nim — noc i pustka!... Zlęknie się — i spadnie!

Nie budźcie... Bo i pocóż zrywać czar daremno?...
Zgasłym gwiazdom wschodzących zórz zabijać świty?...

Nie budźcie... Przecież, gdyby nie ów cud ukryty —
Nie sen ów — nie to światło z magją swą tajemną:
Któżby się w nocy ważył iść na takie szczyty —
I goniąc blask zawisać nad przepaścią ciemną?!...

BŁOGOSŁAWIENI.

Błogosławieni —
Co sieją kwiaty
I drżą o czystość
Swej śnieżnej szaty:
Choć w łzach ją znoszą
Śród burz i cieni:
Błogosławieni,
Błogosławieni.

Błogosławieni —
Co w Jutro wierzą
I wbrew nadziei
Nadzieję szerzą:
Choć przejdą smutni
I ośmieszeni:
  Błogosławieni,
  Błogosławieni.

Blogosławieni —
Co, sercem prości,
Rozdają napój
I chleb miłości:
Choć dróg im wdzięczność
Nie rozpromieni —
  Błogosławieni,
  Błogosławieni.

Błogosławieni —
Co zwarci społem,
Ku Światłu dążą
Otwartem czołem:
Choć idą w ogień
I w grad kamieni —
  Błogosławieni,
  Błogosławieni.

Błogosławieni —
Choć Cios ich zgnębi,
Choć pierś im starga
Szpon klęsk jastrzębi;
Choć zginą krwawi
I obaleni —
  Błogosławieni,
  Błogosławieni.

Choć nawet trud ich
Nie stworzy cudu —
Choć nawet cud ich
Nie zbawi ludu —
Choć krew ich nocy
Na dzień nie zmieni —
Błogosławieni,
Błogosławieni.

SEN!

Śród ciszy i ciemnosci głuchej i złowrogiej
Nagle jakiś zgiełk dziwny zbudził się w oddali :
Zrazu podobny jękom wzbierającej fali,]
Potem wzrastał, jak wichry nawałnicy srogiej...
Wreszcie rozgrżmiał się groźbą piorunów tysiąca,
Co biją w oceanów rozszalałych wody...
To—Przeszłość—wielka, ciemna, serc miljonem wrząca,
Powstawszy, zawołała z otchłani : «Swobody! »...
I poczęły się roić, jak liście jesienne
Postacie wielkoludów z zamierzchłych stuleci,
Zadrżały gladyatorów posągi kamienne,
Z pomników Medycejskich powstali atleci
I krzyknęli: «Swobody!» :. Wstawali tytani

Piorunowe swe hasło obwieszczając ziemi,
— «Swobody!» grzmiały echa...
A najpierw z otchłani
Wstał cień Prometeusza i potarganemi
Pętami grzmiał nad światem... Za nim, jako mrowie
Tłum ludów w obiecane śpieszył gdzieś krainy...
— «Swobody!»... wyły wichry...
W tem magicznem słowie
Wrzała moc tak olbrzymia, że morskie głębiny —
Nagłym wzdęte orkanem aż do gwiazd wezbrały.
Poruszony w posadach glob się zachwiał cały,
Padły twierdze, co mroków wiekuistych strzegą,
Rozprysły się lodowców biegunowych grody...

I nareszcie — mnie ze snu obudził gnuśnego
Okrzyk, co się z mych własnych wyrwał ust:
— «Swobody!» —

ONI...

Niemogłem zrazu przeniknąć ich mowy,
Ledwo dźwięk martwy chwytało me ucho...
Gwar głosów szemrał cichy, pogrzebowy,
Czasem się rozlał szyderstwami głucho...
Czasem przeleciał szumem sennej fali
Lub wiątru pustym chwiejącego kłosem...
Nad czemś radzili, o coś się sprzeczali —
Lecz dziwnie pustym i bezdźwięcznym głosem.

Jak widma blade, jak cień, jak tumany
Sunące z wiatrem... Połysk oczu szklany,
Rysy zapadłe... Każdy z nich się rusza,
Każdy coś mówi, wszyscy kędyś biegą —

Lecz, rzekłbyś, wszystkich opuściła dusza:
Na wargach wszystkich, na twarzy każdego —
Obojętności wyraz lodowaty —
Pieczęć nicestwa głucha i mrocząca...

Oto stanęli przed twarzą miesiąca
I w sennym żalu rozdzierają szaty:
« Napróżno!... Zgasła już ostatnia zorza...
« Nie będzie jutra... jutro dnia nie będzie...
« I pocóż senne opuszczamy łoża
« Ku jawie ciążąc w bezcelowym pędzie?!...
« I w ślepych czarów wplątani zamiecie
« Idziemy w nocy tułać się po świecie?!...
« Nie będzie jutra, słońce już nie wstanie...
« A choćby wstało — to już nas nie będzie...
« I pocóż rwać się w urągliwym tanie —
« I szukać zgiełku?... Mrok i cisza wszędzie!...»

— Więc cóż? spytałem: czem jesteście ludzie,
Bezsenni, snowi podobni — i złudzie?
Jakaż moc złego, jaka przemoc głucha
Zmroziła w niebyt byt waszego ducha?!...
Zgaszonej myśli dym wejrzenia mroczy...
Serce-dzwon pusty..., chód-cichości płazu...
A ruch—bez życia... a głos bez wyrazu...

Rzekłem. I ku mnie mar gromada kroczy;
Stanęły, patrzą zdziwionemi oczy,
I próchennemi wzruszają ramiony,
I chociaż robak już ich czaszki toczy,
Szepcą z litością na twarzy zdziwionej
Że one żyją... (Więc chybam szalony?!)

Cóż na to odrzec mogłem?... Więc przed zgrają
Stałem w milczeniu — i sam się dziwiłem:

Wszak widzę cuda!!... Trupy rozmawiają!...
Umarli chodzą!!... I ten z sercem zgniłem
Szkielet, któremu mózg wyżarły żmije —

Szkielet mi, szkielet wmówić chce, że żyje!
Tu — kości męża... tam — próchno kobiety...
Tam — dziecka zwłoki... Śniedź rozkładu wszędzie...
I wszędzie widma, upiory, szkielety...
« Nie będzie jutra... Jutro dnia nie będzie»...

Więc otulony tą okropną nocą,
Myślałem: skądem tu przyszedł i po co?...
Po jakiej błądzę wygasłej planecie?
Czy już po tamtym może chodzę świecie?...
Czy jeszcze żyję?... możem też już marą?
Latawcem w nocy pędzonym tumanie
Przez wszechmoc guseł romantyczną, starą?!...

— O nie! ja żyję!...

Ale czas nastanie —
I piorun stopi waszą pierś lodową,
I krew w szkieletach zawrze niespodzianie
Na owo w trąbach zgrzytające słowo,
Na łoskot Prawdy tej grzmiącej, co ludzi
Podniesie z pleśni i umarłych zbudzi...
I pękną trumny!..

Tak, pełen otuchy
Mówiłem do nich, nieskończyłem jeszcze,
A już szmer zgrozy w tłumie przemknął głuchy,
A potem trwogi przeleciały dreszcze,
I nagle zewsząd wybuchł śmiech — szalony —
Trupi — bezduszny śmiech — ten śmiech straszliwy,
Wstrząsał piersiami ich — i jak w ciemności
Gałęzią suchą szarpią burz porywy —

Tak spróchniałemi targał ich ramiony —
I drżał i tryskał przez ich czaszek kości —
Przez jamy oczu ich — i taką wkoło
Potęgą szyderstw dzikich grzmiał podziemną ..

Aż zimny pot mi wystąpił na czoło,
I ziemia chwiać się zaczęła podemną...

«BIEŻY SZUM PO LESIE»...

Bieży szum po lesie,
Szum i popłoch wielki...
Na zdziebełkach polnych
Błysły ros kropelki.

Pyłki, pajęczynki,
Snują się i gonią,
Małe pól dzwoneczki
Jak na trwogę dzwonią...

Lecą ku polance
Rojną strzałki rzeszą;
Mrówki z pogotowiem
Na ratunek spieszą...

— Co się stało w lesie?
Pyta drżący ludek
Rosek, trawek polnych,
Ziółek i jagódek.

— Co się stało w lesie?...
Wszystko drży, szeleści...
W ciżbie tak ruchliwej
Szybko krążą wieści.

Leci wieść, śród rojnych
Brzęczy wieść gromadek:
Ot, w pobliżu straszny
Zdarzył się wypadek.

«Tam, pod pniem, w pasiece,
Z drogi w bok, co w rowy
Skręca,—stał grzyb stary
Kilkunasto-dniowy...

«Krzywy, mchem porosły
I od dżdżu spróchniały...
Dwa chochliki leśne
Grzyb ten zrąbać chciały.

«(Król ich właśnie wznosił —
Pałac dla królowej,
Brały więc materyał
Z lasu — do budowy).

« Dziś go miano zwalić;
Jutro zaś — z promieniem
Zórz — flisacy dżdżowym
Spławią go strumieniem...

« Długo trwała praca
W trwawie do wieczora —
Cicho brzmiał, jak szelest,
Odgłos ich topora.

« Nagle drgnął burowik —
Zatrząsł się — osunął —
I jak dąb, z łoskotem,
Całą masą runął !...

« Runął — i w upadku
(Groza pierś przenika)
Całym swym ciężarem
Przywalił chochlika. »
. . . .

Bieży szum po lesie.
Szum i popłoch wielki
Na zdziebełkach polnych
Błyszczą ros kropelki...

Lecą ku polance
Lotną strzałki rzeszą...
Mrówki z pogotowiem
Na ratunek śpieszą...

PRZESZŁOŚĆ DEMONICZNA.

Na posępnem urwisku niebotycznej skały
Ktoś zawiesił kolebkę nad otchłanią ciemną...
Kołysany wichrami, co z Zaświatu wiały,
Śniłem w mgłach... Noc i trwoga czuwały nademną.

Po niebie — burzliwymi posępione kłęby
Pasowały się chmury, jak olbrzym z olbrzymem —
I grom wielki, kruszący ciemne wieków zręby
Przelatując mistycznym odurzał mnie dymem...

Obłędne meteory, skier syczące świstem —
Te gwiazdy ręką Bogów postrącane gniewną —
Błyskały w mą kolebkę okiem płomienistem...
Jak gdyby jakąś czuły istność w niej pokrewną...

Stronami — wulkanicznych wybuchów ogromy
Dymiące swych pochodni rozniecały zorze;
Ziemia drżała; z gór skalne toczyły złomy;
A w otchłani ryczące kotłowało morze.

Dzikie sępy Kainowe, lecące z Gehenny,
Grozą skrzydeł swych skroń mi owiewając zbladłą,
Kąpały ciemne pióra we krwi łun płomiennej...
I jedno uronione w mą kolebkę spadło...

LILJA.

Raz — w ogrodzie zielonym —
Przed wieczorem — o wiośnie —
Na tę śnieżną lilijkę
Poglądałem miłośnie...

Upojony jej wonią —
Przed godziną zórz złotą —
Na tę czystą lilijkę
Poglądałem z tęsknotą...

I gdym na nią tak patrzył,
Zdało mi się, że ona
Nagle drgnęła, tak, drgnęła,
Jakby ze snu spłoszona.

Jakby żądłem ją pszczoły
Ukłół wzrok mój — tak cała
Lilja drgnęła — i twarz jej
Barwą róży się zlała...

I do ucha mnie doszedł,
Gdy tak lśniła różowa,
Od jej listków szmer jakiś —
Jakby szept, jakby słowa.

Wargi ustek miodowych
Roztuliły się z drżeniem...
Zrazum sądził, że wiatr je
Trącił lekkiem swem tchnieniem...

Nie! słyszałem wyraźnie,
To co rzekła mi z cicha,
I poczułem, że pierś jej
Ludzkiem ciepłem oddycha.

Że jej łono dziewicze
Pała życiem namiętnem...
Że w rozkosznem jej ciele
Krew gorącem wre tętnem!...

Ach, pod wpływem tych czarów
I tej woni uroczej
Nagle wrzącej krwi stryga
Zasłoniła mi oczy...

Mózg się zmącił, wzrok zaćmił...
Ach, w tym szale zuchwałym
Jam zapomniał, że ona
Tylko kwiatkiem jest małym!!...

* * *

A gdym się ocknął, już dawno
Nad sadem ranek błysł świeży...
Milcząca, zwiędła, bez woni,
Przedemną lilja ma leży.

Milcząca, zwiędła, bez woni,
Na ziemi leży od rana,
Oddechem moim spalona,
W uściskach moich złamana...

Milcząca, zwiędła, bez woni,
Spowita brzasku mgłą dymną...
I taki chłodny wiatr wionął
Na twarz jej martwą i zimną...

Ach, taki zimny wiatr powiał...
I w niebie zorza tak zbladła...
I rosa taka rzęsista
Na zwiędłe listki jej spadła...

SZNUR KORALI.

...To przecież nie są kajdany...
To sznurek cudnych korali
Na twojej szyi różanej...
To nie więzienie — w tej sali
Kinkietów tyle się pali,
Girlandy kwiecia się winą...
Dziecino, droga dziecino,
To przecie nie są kajdany!...

Bo przecież głowie mojej gorączkowej,
Gdzie łańcuch myśli już się rwać zaczyna,
Bóg wie co może się wydać...
Wszak jeśli na nas są jakie okowy —
To tak subtelne, jak pajęczyna...

To subtelniejsze, niż pajęczyna-
Tak, że ich wcale nie widać ! !...

Lecz — wyjrzyj w okno : czy słyszysz?
Jak sad szeleści, jak dzwoni
W kropelki rosy kropelkami rosy...
Ach, jakże pachną twe włosy !...
Widzisz te błyski na listkach jabłoni?...
Ja tak wyraźnie je widzę —
Na wszystkich listkach jabłoni...
Na każdej kwiatu łodydze,
Na każdej brzozie płaczącej,
Na każdej gałązce drżącej —
W mgle — w srebrnystego
Księżyca promieniu —
Łańcuszek błyszczy cieniuchny, pajęczy...

I ot — dla czego
Przy wieczora tchnieniu —
Cały sad tak cudnie — brzęczy!....

— Widzę je, widzę je, widzę —
Na każdej listka łodydze,
Na każdej liszce, która śni pod listkiem...
Na wszystkiem brzęczą, na wszystkiem
Od lat tysiąca — od wieku —
Na każdym psie — człowieku!..
Widzisz? na ręku mem skaza
Krwawi się blizną zjadliwą...
Nie! to nie przędze pajęcze —
To twarde pręty z żelaza —
To grube sztaby z żelaza!...
Ze sztab żelaznych ogromne obręcze...
A każda obręcz — ogniwo:
Posplatały się, splątały,
Ogarnęły morza skały —
Na około ziemi całej
Wiążą się siecią straszliwą!!

Spójrz! Światy na łańcuchach toczą się w przestrzeni,
Zgrzytając podłużnemi orbit swych ogniwy...

W wir kosmosów wieczystych zaplątane słońca
W jakiś chaos Porządków tłoczą się straszliwy.
Łańcuch się wyolbrzymia, zwija się, bez końca, —
Aż koliskiem Dróg Mlecznych niebo obramieni...
I całą siecią straszną kosmicznych pierścieni
Wieczność zdławi!!...
Już pęka, pęka gmach Natury —
W rdzawych łamie się pętach...
Cisną go i duszą...
Miażdżą... Ziemia się kurczy... Olbrzymie jej góry —
W uściskach tych żelaznych łamią się i kruszą...
Gwiazdy mierzchną w okowach... Słońce się wzdryga...
Gubi złotą koronę — złote skrzeń swych jaśnie —
Żżyma się — krwawi — zastyga —
I gaśnie!!...

— Lecz—wyjrzyj w okno: czy słyszysz?
Jak sad szeleści, jak dzwoni
W kropelki rosy kropelkami rosy...
Ach jakże pachną twe włosy...

PLAGI.

Błyszczą cielce Przemocy... Ludy gną kolana...
Korab dziejów ku mrokom błędną zwraca nawę...
Jeszcze świeci w snach serca ziemia obiecana —
Przez plag chmurną zawieję — ponad morza krwawe.

A więc stańcie w promieniach gasnących zachodu,
Przed tłuszczą faraonów zgiełkujących licznie,
Z wysokości Sumienia mówić do Narodu —
Mówić słowem Proroków — apokaliptycznie...

Berła w węży zamieńcie, złych olśnijcie cudy,
Słabym wskażcie na Niebo, co pomstami dyszy:
Oto gniewów potopem wali się na ludy —
Więc kto ma głos, niech woła, kto ma słuch, niech słyszy.

Więc kto zwleka, niech śpieszy, z nizin, gór, wybrzeży,
Burzy domy niewoli, odwraca gniew Pana:
— Bo oto plaga Władców przyjdzie i uderzy —
I stać będzie złowroga i niezażegnana.

Z ciemnych gwałtu trzęsawisk, z kałów, zgliszcz, posoki,
Wyjdzie przeciw narodom... Koronowo-głowe
Hydry na świat zawyją... Heraldyczne smoki
Zaczną pełzać po niebie, gasić światła dniowe.

Sępy Słońce obsiądą — i krew Słońca złotą
Ssać będą... ziemia zadrży w zaćmieniach i głodach...
A cień skrzydeł ich padnie na rzesze ślepotą,
Hańbą wiernopoddaństwa legnie na narodach.

Więc kto zwleka, niech śpieszy z nizin, gór, wybrzeży,
Burzy domy niewoli, odwraca gniew Pana:
— Bo oto plaga Szpiegów przyjdzie i uderzy
I stać będzie złowroga i niezażegnana.

Tajemniczo, jak złodziej, kłębowiskiem węży
Wyczołga się z kryjówek — we śnie lud zaskoczy,
Tysiącem czujnych słuchów zewsząd się wytęży,
Tysiącznemi z ciemności się wyczai oczy...

W każde okno się wśliźnie, w każde drzwi się wkradnie,
Stróżącemu kolebki poopełza gady...
I na piersi narodów leżących bezradnie
Siądzie — cięższa od zmory, cichsza od zagłady.

Więc kto zwleka, niech śpieszy z nizin, gór, wybrzeży,
Burzy domy niewoli, odwraca gniew Pana:
— Bo oto plaga kupców przyjdzie i uderzy
I stać będzie złowroga i niezażegnana.

Wyjdzie zgrozą Targowisk... Szkielecymi trądy
Padnie w serca... Po ciżbach pożar żądz zapali...
Opanuje odmęty, ostępluje lądy...
Moc żywiołów na złotej ofrymarczy szali...

I zdradzi przekupiona karmicielka, gleba:
I siew ojców poczciwy, co w jej mierzwie leży,
Wzdrygnie się — i dla synów wołających «chleba!»
Wzejdzie kłosiem żelaznem w krwi błyszczącem świeżej.

Więc kto zwleka, niech śpieszy z nizin, gór, wybrzeży,
Burzy domy niewoli, odwraca gniew Pana:
— Bo oto plaga katów przyjdzie i uderzy —
I stać będzie złowroga i niezażegnana.

Gradem pięści Kainowych, dżdżem oprawczych mieczy,
Z zgrzytem trąb, w płomieniącym zerwie się orkanie...
Zacznie krwawić, ćwiartować, dusić ród człowieczy,
Scinać — i z rusztowania wlec na rusztowanie.

Zetnie głowy prorokom ; Potem zetnie ducha ;
Każdą żywą myśl zetnie, ledwo jęknie słowy...
I zamilknie pieśń serca, wkuta w stal łańcucha,
I legnie u szafotów — i twarzą niemowy.

Będzie patrzeć i słuchać w zamięszanej ciszy —
Krzyku serc — i narodów konających męki...
Dobijanych aniołów łkania — i posłyszy
Scinanych Wieków jutra przygłuszone jęki...

Więc kto zwlcka, niech śpieszy, z nizin, gór, wybrzeży,
Burzy domy niewoli, odwraca gniew Pana :
— Oto plaga milczenia przyjdzie i uderzy —
I stać będzie złowroga i niezażegnana.

— Oto Babel z szubienic do gwiazd się pospiętrza —
Oto lądy zawali wielki trup swobody —
Dzikie tłumy waryatów będą rwać jej wnętrza
I rozrzucać po wiatrach jej niedoszłe płody...

Oto z piersią wezbraną nakształt złego wrzodu,
Człowiek błądząc po zgliszczach spustoszonych brogów
Ducha! ducha! zawoła — i zawyje z głodu —
I rozkopie mogiły swych gnijących bogów!...

—Oto przyjdzie zmierzch czynów—noc przerażeń głucha,
I zgaśnie nawet dymne, krwią płonące zorze...
— I oto — stado wieprzy, w które złego ducha
Chrystus wcielił i wpędził przed wiekami w morze,

Zachlupoce w odmętach, — tchem podziemnej burzy
Zbudzone, w miljonowe wzrosłe pokolenia —
Złowieszczemi ryjami fale pozapienia —
I z pian rozkotłowanych wściekłe się wynurzy...

I wyjdzie wszystkie naraz — z wszystkich brzegów wody,
Tabunami na lądy zwali się dokoła —
I w świętość Serc i Ojczyzn wpadnie — jak w ogrody...
Już tętent — kwik ich słyszę... Ratuj się kto zdoła!...

— KTÓRA GODZINA?...

Ani chwilki snu zdrowego, ani duszy dookoła!...
Jakże ciężko nie spać w nocy, tak samotnie, bez opieki...
Ciemność kłębi się wężami... Ty, co uśmiech masz Anioła,
Dotknij ręką mojej twarzy, utul do snu me powieki...

Spójrz, jak krew mi tętni w skroniach... Serce bije tak boleśnie,
Taki lęk ogarnia duszę... dech zamiera... wlos się jeży —
Oto zerwał się nietoperz — leci — skrzydłem nie szeleśnie...
Słyszysz? ciemność zegarami na dalekiej jękła wieży...

Jakże pachną kwietne łąki — jakże słodko szumią łany —
Dla pogodnych serc bez troski, dla szczęśliwych, sielskich
[ludzi...
Idę — płynę w jakieś zorze — w jakiś kraj zaczarowany —
W jakąś śpiewną dal... i nagle głuchy ból mię ze snu budził...

Widzę w mroku twarz potwora, widzę jakąś dłoń szkielecą:
Na żałobnem kołowrotku pasmo godzin późnych przędzie...
«Nie przylecą jasne ptaki, nie przylecą, nie przylecą,
«Pogubiła zórz królewna srebrno-pióre swe łabędzie...»

Noc się dłuży... Czasem zagrzmi... Szyby okien gdzieś
[brzęczą...
Ale oto błysł już ranek: sad się budzi — ptactwo gada...
Rozwidniła się jutrzenka — promienistą świeci tęczą...
Czuję, jak jej pierwsze światło na powieki moje pada...

Słyszę głos twój, głos anioła, co mię budzi, sc snu zrywa...
A ja leżę jak w letargu — ciężka niemoc pierś mą gniecie...
Wreszcie—zrywam się...i wszędzie taka ciemność przeraźliwa!..
Czemu nikt nie czuwa przy mnie... — Taka straszna noc na
[świecie!...

— Która godzina?!...

NIEWZAJEMNOŚĆ.

Ideał niedościgły nie jest dla nas słońcem
Co duchy rozpogadza, serca rozpromienia.
On pali nas, on trawi niepokojem żrącym ;
W zgryzotach sumień czujem jego ukąszenia.

Jako sęp ten, sęp straszny, choć piór blaskiem złoty,
Co powstaje z ran serca i wciąż ssie te rany :
On rośnie czerpiąc pokarm z krwi naszej istoty,
By tem boleśniej krwawić znów nasz byt znękany.

Ideał nie jest gwiazdą, która do przystani
Zacisznej wiedzie rzeszę naszych błędnych łodzi:
Nieraz w otchłań jak slepi, jak haszynem pjani,
Rzucamy się za marą, co się z snów urodzi...

Lecz kochamy Ideał, i do jego mary
Rwie nas jakaś tęsknota, jakiś ból posępny...
A on gdzieś lśni przez mętne naszych żądz opary
Tak krwawo pożądany, a tak niedostępny.

I nakształt owej tłuszczy głodnej i żebraczej,
Co śmie kochać królewnę podobną jutrzence:
Ludzkość rwie się ku niemu w wiecznych pragnień męce,
W wiecznej bezwzajemności wijąc się rozpaczy.

Miłość wielka i święta, miłość bezwzajemna
Takim jadem szaleństwa ludzkie spienia duszę —
Iż lepiej, niech nas zwiążą, gdy przyjdzie noc ciemna,
Nim dzikie paroksyzmu porwą nas katusze!...

SEN ZŁOTY.

Śniłem, że wreszcie przyszła złota światu era;
Każdy syn każdej matki szedł na inżenjera!...

MUCHA NA OBRAZIE.

Krytyczna mucha siadła raz na arcydziele,
Badała... Śladu badań zostało... niewiele...

KOLĘDA

DZIECIOM WRZESIŃSKIM NA ROK 1901

Nuta: *Przybieżeli do Betleem pasterze.*

Powstawała dziatwa mała
Najwcześniej —
Witać Polskę w żłobku lichym
We Wrześni...
Chwała na Wysokości,
Chwała na Wysokości,
A Wojna na Ziemi.

Naśle Herod Sądy, Katy,
Zbrodniarze,
Rzeź urządzić Niewiniątek
Rozkaże...

Próżne krzyki, ryki Bestyj
Syk Węży:
Idzie Polska, Moc Teutońską
Zwycięży.

Widzą Gwiazdę wielką ludu
Pasterze,
Niosą Złoto, Piosnki, Serca
W ofierze...

Powstawała dziatwa mała
Najwcześniej —
Budzić Naród w żłobku lichym
We Wrześni...

I OTO SZEDŁEM NA TWE, POLSKO, NIWY.

I

I oto szedłem na twe, Polsko, niwy —
Podnosić kwiaty, które gnie posucha...
Z dzieciństwa szedłem, jako syn prawdziwy,
W królewski pałac ojczystego ducha.
W królewski pałac stojący otworem
Dla wolnych — szedłem i niósłem swe serce
Pod twoje stopy tęczowym kolorem
Na purpurowe rozesłać kobierce...
W gęślane duszy trącając narzędzie
Usypiać matkę... na stawach, wieczorem
Białe jej tęsknot kołysać łabędzie...
I w okna złotym malowane wzorem
Łagodnych marzeń zaglądać miesiącem...
W ogrody twoje, w śnieżące jaśminy
Śpieszyłem z sercem jak harfa grającem...

II

I cóż zastałem, kędym śnił wawrzyny...
I cóż zastałem? !...
... — O nie ! nie — ruiny !...
Nie krew na progach zburzonego Domu...
Więc daruj, daruj, jeśli skarg nie szczędzę :
Tyle odstępstwa, tyle gorzkiej winy,
Tyle upadku, poniewierki, sromu —
Tyle lat stały tu twe ślepe... nędze —
Z dziejowych żłobów starą hańbę piły !...

Więc jakże krwawo musi wstać twa zorza ?
I jakie ramię Heraklowej siły
Zawróci wody — i jakiego morza ? !...
I jakże ziemią muszą wstrząsnąć dreszcze
I jak ulewnie muszą spaść twe deszcze —
Jak urodzajnie — lub nieurodzajnie ? !...

— By zedrzeć wstyd ten, by wyplenić złe to —
Krwią musisz bluznąć z wszystkich serc w te stajnie !
I dymem zionąc — i zamieść kometą ! !...

III

A więc kometę schwyć oburącz w dłonie! — —
I wstań olbrzymem — w chmurne sięgnij końce —
Sztandarów burzą leć ku gwiezdnej stronie!...

Przecież to syn twój śmiał zatrzymać Słońce,
I Ziemię z posad ruszył — jeden człowiek...
A tyś — miljonem, rąk i serc miljonem...

IV

Cokolwiek poczniesz — duch nie zawrze powiek
I dzwonić będzie swym budzącym dzwonem,
Na trwogę huczeć z wichrami złej burzy,
Do bram kołatać, i w serca bić Bogiem...
Przestwory łkaniem napełni złowrogiem...
Aż dzień się łkań tych zgiełkami zachmurzy,
Aż echa grzmieniem odwtórzą mu wszędzie...

Cokolwiek poczniesz i cokolwiek będzie —
Powróci myśl twa, jak cud się wynurzy,
Powróci Anioł z Piastowej podróży,
Powróci — skrzydeł rozpuści łabędzie —
I wejdzie, w słońca błyskaniach i w burzy,
W rozwarte wieków jutrzejszych krawędzie —
Cokolwiek poczniesz — i cokolwiek będzie.

SPIS RZECZY

OMYŁKI:

Str.	16	wiersz	2	— zamiast	*zraził*	powinno być	*raził*
—	29	—	12	—	—	*czoła*	—	*głowy*
—	59	—	1	—	—	*praw tych..*	—	*Kto praw tych...*
—	59	—	15	—	—	*trodzie*	—	*trzodzie*
—	134	—	2	—	—	*ruszą*	—	*runą*
—	165	—	8 i 9	—	—	*rzeczółki*	—	*rzeczułki*

Druk. pol. A. Reiffa, 3, rue du Four, Paris.